

**VIS BIBLIOTHECAE ET VIS LIBRORUM
Z PROFESOREM JERZYM PORADECKIM ROZMAWIA
ALICJA MAZAN-MAZURKIEWICZ**

Alicja Mazan-Mazurkiewicz: W jakim stopniu obecnie w pracy naukowej Pana Profesora bazą jest własny księgozbiór, a w jakim zasoby bibliotek naukowych?

Jerzy Poradecki¹: Kiedyś mój księgozbiór był bardzo mały, w związku z tym bazą była biblioteka. Teraz księgozbiór liczy sobie ok. 10 tysięcy tomów i on stanowi podstawę. Tym bardziej, że zajmuję się poezją XX w. Od liceum kupowałem przede wszystkim tomiki poezji, ale i książki krytycznoliterackie, filozofię, socjologię oraz sztukę. Teraz mam prawie wszystko, co jest mi potrzebne.

A. M.-M.: Jaki obraz literatury polskiej można by stworzyć w oparciu o księgozbiór Pana Profesora? Czy byłoby to możliwe?

J. P.: Zakupy książek odzwierciedlają nie tylko moje upodobania, ale i mody literackie, przekonania ówczesne, które książki są ważne. Wiele z nich traci na swojej atrakcyjności. Inne, kiedyś niedoceniane, okazują się bardzo ważne. Kiedy kupowałem *Ocalenie* Czesława Miłosza, była to książka niejako dopełniająca moje zbiory, teraz jest jedną z najcenniejszych. Bywa i odwrotnie. Moje zbiory wierszy Stanisława Grochowiaka stały się zabytkiem literackim. Ciągłe jeszcze jest popularny, ale niepodobna już serio traktować jego manieryzmów. Mało pożywna to strawa. Trzeba go wpisać do kategorii poetów mniejszych. Podobnie jest z niekwestionowaną kiedyś, wydawało się, pozycją Mieczysława Jastruna i Adama Ważyka.

Parnasu nie da się uporządkować, zwłaszcza jeśli chodzi o literaturę zwaną współczesną. Jako historyk literatury wiem, że abyśmy mogli z uzasadnionym

¹ Prof. dr hab. Jerzy Poradecki (ur. 1942) – polonista, od 1965 r. nauczyciel akademicki na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego, od 2000 profesor tytularny. Zajmuje się przede wszystkim poezją polską XX w. Pracę naukową łączy z bogatą działalnością pozauniwersytecką. Był członkiem redakcji łódzkiego tygodnika „Odgłosy”, ogólnopolskiego miesięcznika „Nowy Wyraz”, dzięki niemu wznowiono wydanie łódzkiej „Osnowy” (1981). W 1991 r. założył prywatne wydawnictwo „biblioteka”, promujące przede wszystkim poezję. Współpracownik Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Najważniejsze publikacje książkowe: *Pisarstwo Wilhelma Macha* (Łódź 1982), *Aż tu moje skrzydło sięga* (Łódź 1987), *Orfeusz poetów XX wieku* (Łódź 1995), *Prorocy i sztukmistrze. Eseje o poezji polskiej XX wieku* (Warszawa 1999).

przekonaniem ocenić twórczość jakiegoś pisarza, musi minąć co najmniej pięćdziesiąt lat od jego śmierci. Można mieć nadzieję, że jeśli jego dorobek przetrwa taką próbę, będzie i później znaczący. Choć przecież zdarzały się przypadki, że odkrywano pisarza w dwa wieki po jego śmierci i dopiero wtedy okazywał się prawdziwym klasykiem.

Nie przejmujemy się jednak tym zanadto. Ocenianie dzieł trwa nieustannie, nawet tysiąc lat od czasu ich powstania. Badacze literatury powinni nie tylko się z tym pogodzić, ale traktować to jako swoje zadanie. Obecnie, jak to zwykle bywa po burzliwych przełomach, musi nastąpić gruntowna rewizja dawniejszych hierarchii i ocen.

A. M.-M.: Co z tego budowania może wynikać? Jaka będzie hierarchia w ocenie polskiej poezji XX w.?

J. P.: Zaryzykuję, bo taka wypowiedź jest zawsze ryzykowna. Z pierwszej połowy XX wieku Leśmian, z drugiej Różewicz.

A. M.-M.: A co w ocenie Pana Profesora ma nam dzisiaj do zaoferowania najmłodsza poezja polska?

J. P.: Najważniejsze, że oni uzyskali psychiczną niezależność. Jakby świat nie narzucał im skali wartości bądź oni nie chcą się temu poddawać. W związku z tym pojawia się wiele zapisów życia prywatnego, wędrówki, pociągu, knajpy. Dużo jest tych realiów w poezji autorów „spokrewnionych” z Podsiadłą.

Natomiast... Albo jestem tradycjonalistą, albo oczekuję czegoś innego. Nie dziwię się, gdy porzuca się pewną sferę, w której niegdyś odnajdywało się sens, bo tam go już nie można znaleźć albo go znaleźć nie umiemy. Szukamy wtedy innej sfery, w której byłyby odpowiedzi na pytania o sens naszego istnienia. Otóż tutaj ta poezja ma bardzo mało do zaoferowania. To byłby taki niepokojący moment. Uzasadniony i silny sprzeciw wobec zastanych porządków, ale jednocześnie nie widać nowych projektów, nowych pytań. Poeci ci jakby ograniczali się do manifestowania swojej wolności od czegoś, nie zwracając uwagi na wolność ku czemuś.

Podsiadło, Świetlicki, stworzyli swoją poezją i sposobem życia dość specjalne terytorium. Kiedyś mieliśmy do czynienia z kulturą wysoką i kulturą popularną, rozrywkową. Oni stworzyli trzecią strefę. Nie widać, żeby dyskutowali z Miłoszem, Białoszewskim, Gombrowiczem. Nie widać, żeby się godzili na pop. Nie w wysokiej kulturze się mieszczą, nie w rozrywkowej, ale zbudowali trzecie terytorium. Promują możliwie wysublimowane formy sztuki rozrywkowej, obywatelując się niejako bez tradycyjnych form najbardziej ambitnej kultury wysokiej i bez najbardziej użytkowej, rozrywkowej. Nie widać natomiast zamachów na sens istnienia, na Boga, kosmos, społeczeństwo.

A. M.-M.: Jakie wartości promuje wydawnictwo Pana Profesora „biblioteka”?

J. P.: Jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że nie mam programu literackiego. W tym wypadku jestem tylko krytykiem, w związku z czym promuję wszystko, co wydaje mi się dobre. Wśród tych poetów są poeci filozofujący, ale są też bliscy Podsiadłe czy Świetlickiemu. Są postmoderniści, choćby świętny Kacper Bartczak. Są lingwiści, jak Jarniewicz. Jeśli przy łódzkiej anglistyce jesteście, jest pani Dorota Filipczak, estetyzująca i filozofująca, z bogatym zasobem kulturowych doświadczeń.

Jeśli miałbym coś preferować, to powiedziałbym tak: chcę się stykać z taką sztuką, która mówi mi coś o moim życiu, sensie mojego życia. Czy ktoś mi opowiada, jak znosić ból zęba, czy ktoś mi mówi na temat rozbieżności akceptacji Boga i Kościoła – jedna i druga sfera jest ważna, z tym i z tym trzeba się borykać w życiu.

A. M.-M.: Dotąd rozmawialiśmy o poezji dwudziestowiecznej. Jakie są upodobania Pana Profesora w odniesieniu do dawniejszych epok? Co szczególnie Pan Profesor ceni?

J. P.: Wbrew temu, co się mówi na temat renesansu, złotego wieku kultury polskiej, XX w. i barok to dla mnie dwie najwspanialsze epoki. Romantyzm to trzech czy czterech wieszczów, a potem drugorzędna w gruncie rzeczy twórczość.

Jest pewna istotna rzecz, która dotyczy naszej świadomości. Ze względu na utratę niepodległości jeszcze w XVIII w., tradycja dziewiętnastowieczna była zawsze tradycją niepodległościową, patriotyczną i te tematy stały się pierwszymi w naszej wyobraźni. Zresztą późniejsze doświadczenia nie uwalniają nas od tego.

Wcześniej była wolna i potężna Polska. Jej literatura nie odpowiada tak patetycznie i szczegółowo na pytania niepodległościowe. Dlatego jest dla nas trochę obca, trzeba nauczyć się ją czytać. Nieoceniony Kochanowski, ale i Rej. Kto tak potrafił opisać kurę, jak Rej? I wiele takich cudownych drobiazgów. Barok ze wszystkimi egzystencjalnymi lękami, ale i z wybujałością życia i miłością do tej wybujałości życia. Niesamowity Potocki. Później tylko Białoszewski potrafił opisać tak wiele szczegółów życia codziennego.

Gdybym miał powiedzieć, co mniej cenię, to byłby to pozytywizm i Młoda Polska. Felicjan Faleński to mój ukochany poeta, niemniej nie jest to poeta rangi Mickiewicza.

Jestem specjalistą od XX wieku, ale miłośnikiem całej literatury polskiej.

A. M.-M.: W *Prorokach i sztukmistrzach* pisał Pan Profesor, że im bogatsze życie duchowe, tym potrzeba poezji większa. Czy ta potrzeba poezji jest silna u obecnych wychowanków Pana Profesora, studentów naszej uczelni?

J. P.: To zagadnienie, które z jednej strony może napawać nas obawą, z drugiej nie powinno. Rozmawiałem o tym kiedyś z socjologiem kultury. Gdyby wziąć pod uwagę ostatnie 250 lat, ile spośród osób dorosłych to czytelnicy poezji? Dwa czy trzy procent. Młodość to osobna sprawa, w szkole średniej czy na studiach jest dużo czytających czy piszących poezję, potem to

zanika. Nie rozdzielałbym szat. Wspomniane trzy procent zapewne będzie się utrzymywać. Między bajki można włożyć marzenie Mickiewicza, aby jego wiersze „zblądziły pod strzechy”. Nigdy elita nie będzie stanowić sześćdziesiąt procent dorosłych obywateli żadnego kraju.

Zmieniać się natomiast będzie stosunek do książki. To, że poezja jest dostępna w Internecie, wpływa na jej odbiór. Jak jeden z filozofów zauważył [H. M. McLuhan – A.M.-M.], środek przekazu jest przekazem. Doskonale to czuję jako redaktor poezji. Nie jestem w stanie ze zrozumieniem i odczuciem przeżywać wiersza z komputera. Muszę go mieć wydrukowany na papierze.

Myślę, że kultura komputera jest jednak innego typu kulturą. Oczywiście Internetu nie można przekreślać, to szalenie cenny wynalazek. Ale to tak, jak różnica między teatrem a telewizją. W teatrze bezpośrednio na siebie oddziałują aktor i widz. W telewizji już tego nie ma, tylko ekran oddziałuje na nas. To zupełnie inna jakość.

A. M.-M.: Czyli materialny konkret, za pośrednictwem którego realizuje się nasz udział w kulturze, jest ważny?

J. P.: Tak, bardzo ważny. Ważny jest przede wszystkim aspekt czasu. Internet, przynajmniej dla mnie, jest czymś, co mnie pogania. Książka jest czymś, przy czym mogę się zatrzymać, posłuchać śpiewu ptaków, za piętnaście minut wrócić do niej, przeczucić parę stron...

A. M.-M.: Czy biblioteka to miejsce, w którym można zatrzymać czas? Czy miał Pan Profesor kiedyś taką pokusę, by na przykład na całą noc zostać w bibliotece?

J. P.: Biblioteka UŁ miała jedną wspaniałą zaletę, ale tylko w dzień: była w niej bardzo miła kafejka. Teraz straciła ona tamten charakter.

Natomiast noc, przy moim wzrastającym księgozborze, to była cudowna rzecz. Tak do trzeciej czy czwartej siedzieć, dostawiając herbatę czy kawę i w ciszy nocnej – miasto w dzień jest hałaśliwe – podczytywać, podumać.... Niezależnie od efektów, jakie się osiągało, to był bardzo miły sposób istnienia.

A. M.-M.: Czy biblioteka pozwala na takie spokojne, „wysmakowane” obcowanie z książką?

J. P.: Tak, pozwala. Obowiązuje tam cisza, ma się swój stolik, można się skupić dowolnie. Pamiętam te czasy, gdy sam przesiadywałem w niej godzinami. To było bardzo ciekawe, nawet uspokajające życiowo.

Myślę, że biblioteka pozostanie takim miejscem, gdzie będzie można uciec z życia, tak jak, powiedzmy, filharmonia. Idzie się i wiadomo, że nie skończy się wcześniej niż za półtorej godziny, nie ma się gdzie spieszyć. W bibliotece też coś takiego jest. Teraz poświęcam godzinę czy dwie, wyłączam się z życia, zajmuję czymś innym.

A. M.-M.: Jak Pan Profesor wspomina swoje dawniejsze kontakty z Biblioteką Uniwersytecką – z czasów studenckich?

J. P.: Wspomniałem już, że polonistyka była w gmachu BUŁ. Były tam dwie biblioteki, polonistyczna i uniwersytecka. Kawiarenka. Wszystkie przerwy, zalecanie się, flirty, co w moim przypadku skończyło się małżeństwem z polonistką. Tam powstawały pomysły. Konkursy poetyckie, teatr studencki, w którym grałem.

Czasy bardzo się zmieniły i ubolewam nad tym. Dla wielu osób z mojego pokolenia studia były otwartą furtką w żywy świat myśli twórczej, kulturalnej. Przez nie się przechodziło do pierwszych recenzji w „Odgłosach”, do Koła Młodych przy ZLP. Studia były dodatkiem do bogatego życia artystyczno-twórczego, w którym się uczestniczyło.

Teraz jest jakby odwrotnie. Rygory studiów zdominowały większość osób. Są nawet piątkowi studenci, którzy mnie jednak niepokoją tym, że oczekują od prowadzącego zajęcia, aby im wskazał, co przyzwoity absolwent powinien znać. Nie ma niepokoju szukania na własną ręką. Dopóki jakiś poeta nie wejdzie do kanonu lektur, to nie jest godny zainteresowania, jeśli wejdzie, to się z niego przygotowują i zdają.

A. M.-M.: Czy można ten proces odwrócić, czy jest on nieunikniony?

J. P.: Trochę jestem pesymistą. Reguła, dotycząca moich kontaktów ze studentami, brzmi: jestem jak przewodnik. Idziemy wzdłuż muru, otwieram furtkę, mówię: popatrzcie, jaki piękny ogród. Możecie wejść. Ale ja ich tam nie mogę wepchnąć. Jak nie chcą, to nie da rady.

A. M.-M.: Więc to nie kwestia braku ofert, zachęt?

J. P.: To nie jest żaden problem. Cokolwiek byśmy mówili o drogich książkach, biletach do kina czy teatru, to nie jest problem. Problemem jest traktowanie książki. Czy książkę traktujemy jako materiał, dzięki któremu będziemy lepiej wykwalifikowani, czy traktujemy ją jako rozmowę z przyjacielem, jako przygodę intelektualną, jako próbę znalezienia odpowiedzi na pytanie, po co się żyje. To są dwie zupełnie różne postawy.

A. M.-M.: Czy biblioteka może w jakiś sposób podpowiedzieć użytkownikom inne od pragmatycznego traktowanie książki?

J. P.: Tak, z pewnością. Zbiory, jakimi dysponuje UŁ, mimo woli podpowiadają nam pewne rzeczy. Piękne wystawy okresowe, starodruki, pamiątki z życia kulturalnego Łodzi... To coś, co się rzuca w oczy. Chcąc nie chcąc, trafia się na te rzeczy i ma się przynajmniej świadomość, że można z tego skorzystać.

A. M.-M.: Czy miałby Pan Profesor jakieś życzenia, sugestie pod adresem Biblioteki Uniwersyteckiej? W jaki sposób mogłaby ona jeszcze skuteczniej spełniać funkcję upowszechniania kultury?

J. P.: Myślę, że biblioteka powinna zadbać o szerszą i bardziej zróżnicowaną ofertę. Upominałbym się o kawiarenkę. Gdzie jak gdzie, ale właśnie w bibliotece mógłbym spotkać znajomego malarza, interesującego studenta, kolegę z filozofii.

Po drugie, trzeba by opanować nowe środki przekazu. Nie tylko katalog komputerowy. Chciałbym, aby można było obejrzeć przezroczną, filmy, zwłaszcza

o sztuce, których w innych okolicznościach prawie nie można obejrzeć. Żeby pojawiło się coś w rodzaju klubu pasjonatów, klubu dyskusyjnego. Wtedy biblioteka stałaby się po trosze muzeum, po trosze kawiarnia, ośrodkiem życia towarzyskiego, klubem osób czynnych intelektualnie i artystycznie. To byłoby najlepsze miejsce.

Wciąż nie jest reklamowana działalność informacyjna biblioteki. Ze studentami wciąż mam takie kłopoty. Tłumacząc: możecie iść do Działu Informacji, tam dostaniecie bibliografię przedmiotową, wyciągną wam potrzebne informacje. Szukają na własną rękę, nie wiedzą o tym. Trzeba by to upowszechnić.

A. M.-M.: Może ten ostatni problem to częściowo kwestia czysto techniczna: zbyt pośpieszne, powierzchowne przygotowanie biblioteczne na I roku studiów, niedające wyobrażenia o wszystkich możliwościach korzystania z biblioteki?

J. P.: Na pierwszym roku studenci wiedzą, że jest coś takiego jak *Nowy Korbut*, a na czwartym już o tym nie wiedzą. Zaliczyli, zdali, mogą zapomnieć...

A. M.-M.: Czy metafora biblioteki przekonuje Pana Profesora? Czy rzeczywiście jest tak, że mieszkamy, żyjemy w bibliotece?

J. P.: Jest to metafora trafna, bo niezależnie od tego, czy jesteśmy wierzący, czy niewierzący, świat jest księgą, którą należy czytać. Księgą, którą stworzył Bóg, albo która powstała w niewiadomy sposób, ale tak czy inaczej trzeba ją czytać.

Po drugie jest to metafora trafna z tego względu, że gdy wejdziemy do biblioteki, stajemy przed jedną półką, a tysiąc innych pozostaje w cieniu. Ale mamy tę świadomość, że one są. W życiu jest tak samo.

Poza tym okazuje się, że nie wszystkie książki warto czytać. Powtarzają się po prostu. W związku z tym trzeba nabrać pewnych umiejętności, żeby wybierać.

A. M.-M.: Co Pan Profesor mógłby doradzić, młodemu zwłaszcza miłośnikowi literatury, który może czuć się przytłoczony ilością oferowanych mu publikacji? Jak się w nich rozeznąć? Skąd wiedzieć, co warto przeczytać?

J. P.: Bardzo oszczędnie oglądać telewizję. Ulubiony przeze mnie program informacyjny TV 24 ma audycję „Naj, naj, naj...”. To taka lista przebojów: to, co jest najczęściej odwiedzane, czytane, oglądane, kupowane. Niestety, jeśli coś się podoba milionowi ludzi, to znaczy, że to nie wykracza – artystycznie i intelektualnie – poza przeciętność.

A. M.-M.: Czyli bestseller nie może być równocześnie arcydziełem?

J. P.: Może być, ale rzadko kiedy nim jest. Poza częścią przystępną, popularną, musiałby zawierać wartości ukryte, które są teraz niedostępne. *Don Kichot* był odczytywany jako satyra na rycerstwo. A co romantycy z niego zrobili – i słusznie? Odczytali w nim tragedię ideowca, który się zaplątał w rzeczywistość i musi z nią przegrać. *Zbrodnię i karę* można by zareklamować jako kryminał.

A. M.-M.: *Zbrodnia i kara* raczej zawiodłaby zwolenników tego gatunku...

J. P.: Oczywiście, ale to typowy schemat kryminału. Tyle, że wyrządzilibyśmy krzywdę tej książce. Poza tym miłośnicy kryminałów po pięciu stronach by się zorientowali, że to nie to, że autor ich oszukuje.

A. M.-M.: Co zatem można radzić młodemu czytelnikowi, by nie zginął w gąszczu propozycji lekturowych?

J. P.: Uwierzyć, że są autorytety, bo są, które wiedzą, co należy przeczytać. Po drugie, nie dowierzać różnego rodzaju konkursom. Nie pamiętam wielkiego filmu nagrodzonego Oscarem. Ci, którzy się pasjonują nagrodami, są z góry na przegranej pozycji, bo będą czytać rzeczy powszechnie akceptowane.

A. M.-M.: Kto może być autorytetem?

J. P.: Autorytetem powinien być człowiek mądry. Nie każdy uczony jest mądry. Wśród uczonych wielu jest pasjonatów mód. Spłycony postmodernizm, feminizm... To peryferie rozwoju ludzkości.

Naprawdę wielką powieścią jest *Don Kichot* czy *Podróże Guliwera*, to trzeba przeczytać, co do tego możemy być spokojni. Natomiast jeśli chodzi o najnowszą literaturę, trzeba samemu ryzykować.

A. M.-M.: Czy z książek można się nauczyć mądrze żyć? Albo skromniej – mądrze myśleć?

J. P.: Tak, ale nie chciałbym, żeby to traktować pragmatycznie. Jeśli mówimy o nauce dobrego życia, rozumiałbym to tak, że mądre książki stawiają nam mądre pytania. Natomiast potem zauważamy, że żyjemy w świecie, w którym mamy szukać odpowiedzi na te pytania. Nie musimy odpowiadać tak jak Prus czy Żeromski. Ale pojawiło się pytanie i z naszej strony domaga się ono odpowiedzi, bardzo zresztą pozytywnej dla nas.

A. M.-M.: Czy nie podziela Pan Profesor obaw, że epoka książki się kończy?

J. P.: Nie jestem katastrofistą. Nowoczesne osiągnięcia nie wypierają tego, co było wcześniej. Wydawało się, że kino wyeliminuje teatr, a tak się nie stało. Teatr się wysublimował albo przekształcił w kabaret, ale nadal jest. Telewizja nie wyeliminowała kina. To się gromadzi, dodaje.

Książka pozostaje. Ona została w swoich dawnych parametrach użyteczności zepchnięta na dalsze pozycje, oczywiście. Zamiast korzystać z podręcznika wywołujemy hasło w Internecie. Po co nam wtedy podręcznik?

Natomiast jeśli mówimy o tomiku wierszy, to najlepszym sposobem obcowania jest trzymać go w ręku. Tego nie zastąpi telewizja albo aktor czytający wiersz.

A. M.-M.: Czy w księgozbiórce Pana Profesora są książki, które są dla Pana w jakiś sposób ważne jako przedmioty – konkretne wydanie, egzemplarz, a nie tylko sam tekst?

J. P.: Powiem o jednym takim przykładzie. W okolicach I wojny światowej Leopold Staff redagował serię Symposion. Za czyjaś namową – któregoś z moich

autorytetów – wpadłem na to i zacząłem czytać. To był de La Rochefoucauld. To mnie bardzo ujęło i zacząłem kompletować serię – po 1956 r. ukazało się wznowienie tej serii pod inną redakcją oraz nowe pozycje. Zacząłem kupować tomy wydane po roku 1956 i mam wszystkie. Seria się skończyła, ale w tym czasie zacząłem także kupować te redagowane przez Staffa. Ukochałem je za to, że gadały ze mną mądrze, dowcipnie. Dlatego, mimo że mam czasem po dwa egzemplarze tej samej książki, żadnego się nie pozbędę.

A. M.-M.: Jaki jest Pana Profesora stosunek do pożyczania książek z własnego księgozbioru?

J. P.: Pierwszy impuls jest taki, że należy podskoczyć z radości, że znalazł się taki, który chce pożyczyć... Ale drugi to obawa, że coś się złego może stać książce. Najmniej chętnie pożyczam uczniom i niektórym studentom. Wykorzystują do egzaminu, czasem wyrwą kartkę, stawiają na książce kawę... Nie mają odpowiedniego stosunku do książki. Natomiast wszystkim innym chętnie pożyczam.

A. M.-M.: A czy są książki, których Pan Profesor raczej nie pożycza?

J. P.: Wolałbym uchronić przed zaginięciem i zniszczeniem serię Symposion oraz sporo innych, których nawet czasem nie zdążyłem przeczytać. Ale co do reszty – niech wędrują i się przydają.